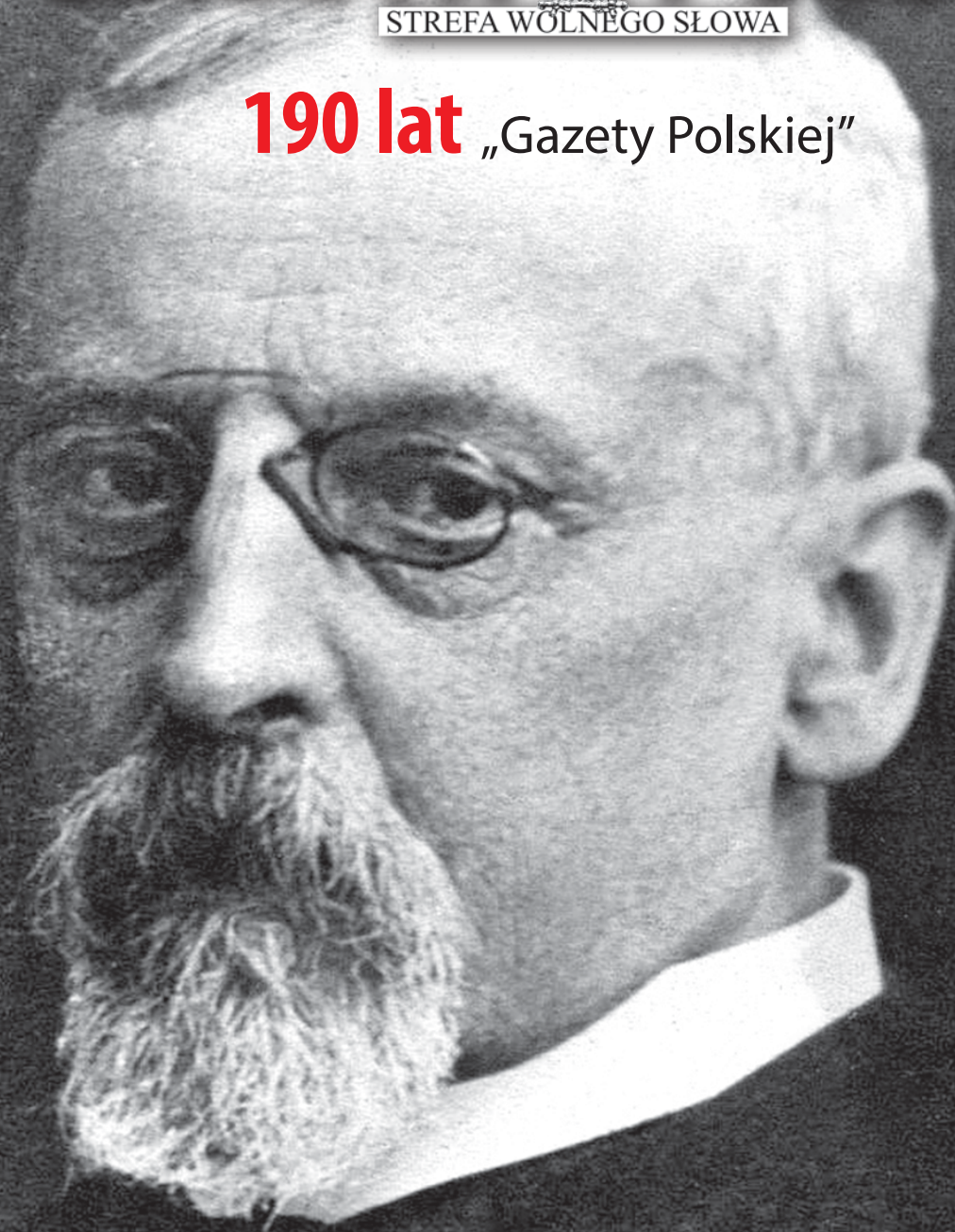


GAZETA POLSKA



STREFA WOLNEGO SŁOWA

190 lat „Gazety Polskiej”



Dodatek pod redakcją
Agnieszki Kowalczyk

” W momencie gdy Henryk Sienkiewicz rozpoczynał swą niemal dziesięcioletnią przygodę dziennikarsko-literacką w „Gazecie Polskiej”, miał już za sobą prasowy debiut – pierwszą recenzję teatralną, studia o twórcach staropolskich, „Humoreski z teki Worszyły” i powieść „Na marne” uznaną przez Kraszewskiego za wyjątkowo dojrzałą. Był więc młodym dobrze zapowiadającym się pisarzem, który postanowił spróbować swoich sił na polu dziennikarstwa, włączając się aktywnie w wir życia stolicy drugiej połowy XIX wieku. Pierwsze kroki w „Gazecie Polskiej” nasz przyszły noblista stawiał jako kronikarz życia Warszawy i od razu ujął czytelników swoimi błyskotliwymi felietonami z cyklu „Bez tytułu”.

CZĘŚĆ 2

*Henryk Sienkiewicz
jako felietonista
„Gazety Polskiej”*



Litwos oklaskiwał Helenę Modrzejewską w teatrze i bywał stałym gościem na literacko-artystycznych wtorkach u królowej warszawskiej sceny

W swych felietonach Sienkiewicz okazał się nie tylko znakomitym humorystą, lecz także bystrym obserwatorem polskiego społeczeństwa i „malarzem stolicy”.



Adam Chmielowski (św. Brat Albert) w młodości



Na początku lat 70. XIX wieku Sienkiewicz mieszkał na ulicy Niecałej 8, skąd do redakcji „Gazety Polskiej” miał zaledwie dwa kroki



Sienkiewicz na salonach i nie tylko

Rozpoczynając przygodę z „Gazetą Polską”, Sienkiewicz mieszkał wówczas na Niecałej 8, skąd do redakcji miał zaledwie dwa kroki. Wynajmował pokój z kolegą po piórze Leopoldem Mikulskim.

Razem prezentowali się dość osobliwie. Sienkiewicz, choć niewysoki, założywszy modny cylinder, wyglądał na olbrzyma przy drobnym Mikulskim – „garbusku z anheliczną twarzą”. Zwykle można go było spotkać na obiedzie u „Andzi” Czuleńskiej, w ulubionej restauracji literacko-artystycznego świata Warszawy. Często odwiedzał też cukiernię Loursa w gmachu Teatru Wielkiego i bywał u Lessla w Ogrodzie Saskim, gdzie zbierała się brać dziennikarska, aby omówić najciekawsze wydarzenia dnia. A że w dobie pozytywizmu wytworzyły się dwa przeciwstawne obozy – „młodej” i „starej” prasy – toteż na werandzie u Lessla lewą stronę zajmowali „młodzi”, między którymi świeciły nierzadko tyse czaszki, a po prawej zasiadali „starsi” o gęstych, byronowskich czuprynach. Jednak gdy tylko dotarła do nich jakaś istotna polityczna wiadomość, jakiś alarm z policji czy cenzury – jak zauważył jeden z publicystów warszawskich – to od razu „łamała się sztuczna bariera, srodzy przed chwilą przeciwnicy, rzucając »potępieńcze swary«, kupili się prawie że konspiracyjnie”.

Surdut „sak-palto” i frak na kredyt

Małomównego i zamyślonego zazwyczaj Litwosa, bo pod takim pseudonimem publikował w „Gazecie Polskiej”, opróżniał już wtedy „urok talentu niepospolitego, nęcił ku niemu czar osobisty. Wprawdzie często zwykł szukać samotności, ciszy, tej przyjaciółki myśli, przecie nie gardził kompanią farysów, amatorów mokki” – wspomina Tadeusz Czapelski. Jako dziennikarz mógł mieszkać skromnie i nie jadać do syta, ale musiał zawsze prezentować się elegancko i zachować fason, a do tego nieodzowny był surdut, „sak-palto” i frak na premierę do teatru.

Znajomością najnowszych trendów mody męskiej mógł się poszczycić jego poczciwy krawiec „Szabsio”, który, zawsze taktowny i cierpliwy, szył dla młodego pana Henryka na kredyt, nie upominając się o pieniądze. Tak wygalantowany Litwos udawał się już spokojnie do Teatru Rozmaitości, gdzie przy naftowych lampach osłoniętych abażurami delektował się grą orkiestry pod batutą Leopolda Lewandowskiego – wirtuoza skrzypiec, kompozytora polonezów, mazurów i kadryli. Innym znów razem śmiał się do rozpuku, podziwiając niezrównanego komika Alojzego Żółkiewskiego, który był w stanie rozbawić publiczność do łez. Najbardziej jednak czekał, podobnie jak cała stolica, na występ królowej warszawskiej sceny – Heleny Modrzejewskiej. Nie mógł oderwać od niej oczu, gdy wcieliła się w rolę obłąkanej Ofelii bądź Desdemony drżącej ze strachu przed Otellem-Leszczyńskim. Wtedy genialna aktorka bała się rzeczywiście. Leszczyński grał tak realistycznie, że gdy zbliżył się do niej z zamiarem morderstwa, przerażona krzyknęła i wyskoczyła z łóżka. To odstępstwo od scenariusza wzbudziło na sali wielki entuzjazm, a całe przedstawienie przyjęło burzą oklasków.

„Pił słuchem każde słowo”

Modrzejewską i jej małżonka Karola Chłapowskiego Sienkiewicz poznał osobiście u Leów, w wili Topolka pod Pruszkowem i od tej pory był stałym gościem na artystyczno-literackich wtorkach u pani Heleny. Państwo Chłapowscy mieszkali wówczas na Miodowej – jednej z najruchliwszych ulic Warszawy, a ich dom znalazł się pod szczególną „opieką” policji węszącej tu ustawicznie, gdyż małżonek słynnej aktorki – powstaniec z oddziałów Langiewicza i więzień Moabitu (berlińskie więzienie będące miejscem kaźni Polaków w okresie zaborów) – był w oczach władz człowiekiem podejrzanym i wielce niebezpiecznym. Ta uciążliwa inwigilacja nie przeszkodziła jednak Helenie prowadzić salon, w którym zabraknąć nie mogło młodego Sienkiewicza. „Do dzisiaj widzę go – wspominała po latach – jak siedzi w zacisznym kącie z ładną i pełną wyrazu twarzą wspartą na rękę, milczący, gdyż mówił niewiele, ale za to śledził wszystko swymi pięknymi, lekko zmrużonymi oczami, i pił słuchem każde słowo [...]. Niekiedy [...] decydował się na czynny udział w rozmowie, ku naszej wielkiej radości, gdyż jego wszechstronna umysłowość i z lekka sarkastyczny humor działały jak ostroga na innych, wywołując interesującą, na wysokim poziomie dyskusję”.

Niezwykli mistrzowie pędzla

Intrygowała naszego dziennikarza trójca znanych malarzy – Józef Chełmoński, Adam Chmielowski (późniejszy brat Albert) i Stanisław Witkiewicz. Gnieździł się oni na

U Modrzejewskiej gościła cała ówczesna elita intelektualna stolicy – literaci, malarze, rzeźbiarze, uczeni i dziennikarze, a wśród nich zarówno uznane znakomitości, jak i wschodzące gwiazdy warszawskiego Parnasu. Do stałych bywalców należał Franciszek Kostrzewski – niezrównany karykaturzysta, którego humorystyczne rysunki znane z „Tygodnika Ilustrowanego”, „Kłosów” i „Zorzy” skupiały niczym w soczewce życie ówczesnej stolicy przedstawione w krzywym zwierciadle. Z jego realistycznych obrazków wзираła cała galeria charakterystycznych dla Warszawy typów miejskich dorożkarzy i dandyś, dorobkiewiczów i żebraków, egzaltowanych dam i ubogich przekupek. Z zacięciem satyryka odtwarzał scenki obyczajowe z Powiśla, Starego Miasta czy przystani na Solcu. Jakże bliskie było Litwosowi spojrzenie Kostrzewskiego na stolicę i jej mieszkańców. Sam mógłby śmiało wykorzystać jego karykatury jako ilustracje do swoich felietonów.



swym największym i nigdy nieukończonym dziełem – „Ecce homo” – wizerunkiem umęczonego Chrystusa w cierniowej koronie. Sienkiewicz, spotykając malarza w salonie Modrzejewskiej, nie wiedział jeszcze, że stoi przed nim przyszły święty – brat Albert, który porzuci sztalugi, by poświęcić się Bogu i ludziom.

Trzeci zaś spośród przyjaciół, Stanisław Witkiewicz, syn powstańca zmarłego na Syberii, był wówczas początkującym artystą, lecz zbyt ubogim, by rozpocząć studia malarskie. Niebawem podąży on śladami Litwosa do Ameryki i namaluje nawet portret naszego pisarza podczas polowania w kalifornijskim lesie kaktusowym. W warszawskim salonie mógł też Sienkiewicz spotkać takich mistrzów pędzla, jak Aleksander Gierymski i Wojciech Gerson, ponadto rzeźbiarza Cypriana Godebskiego, historyka Aleksandra Przędzińskiego, komediopisarza i recenzenta teatralnego Edwarda Lubowskiego oraz redaktorów najpoczytniejszych pism warszawskich – Edwarda Leo z „Gazety Polskiej”, Józefa Keniga z „Gazety Warszawskiej” czy też Kazimierza Władysława Wójcickiego z „Biblioteki Warszawskiej”. Chłonał tu całym sobą salonowe rozmowy, przyglądał się oryginałom ze świata nauki i sztuki, a sam niewiele mówiąc, łowił i rozważał każde słowo nietuzinkowych przedstawicieli artystycznej bohemy.

Twarda szkoła Sikorskiego

Jako felietonista „Gazety Polskiej” musiał mieć oczy i uszy szeroko otwarte, bo rola kronikarza Warszawy wymagała nieustannego bywania wszędzie, gdzie tylko coś się działo. Do pracy zabrał się z wielkim zapałem, tak iż czytelnicy już w pierwszych jego artykułach z cyklu „Bez tytułu” (1873) dostrzegli niebywały talent pisarski, satyryczną werwę i dar przenikliwej obserwacji. Mimo to początki Litwosa w „Gazecie Polskiej” okazały się nie do pozazdroszczenia. Prawdziwą torturą dla młodego adepta sztuki dziennikarskiej, który co dopiero ukończył wydział filologiczny w Szkole Głównej, było terminowanie u redaktora naczelnego Józefa Sikorskiego. Ten twardo stąpający po ziemi racjonalista, gdy tylko zauważył, że Sienkiewicz zanadto puszcza wodze fantazji i nie trzyma się twardych faktów, wpadał w szał i dawał początkującemu felietoniście ostrą reprimendę. Kreślił mu wszystko, co było żywe, oryginalne i nieszablonowe. Jego kolega redakcyjny Antoni Zalewski wspominał, że „z felietonu leciały [...] co tydzień strzępki, a zostawał tylko suchy szkielet. Taka była jednak potęga tego talentu, że i ten szkielet zdradzał jeszcze niepospolitą zdolność. Pewnego razu ktoś z współpracowników »Gazety« winał Sikorskiemu felietonisty.

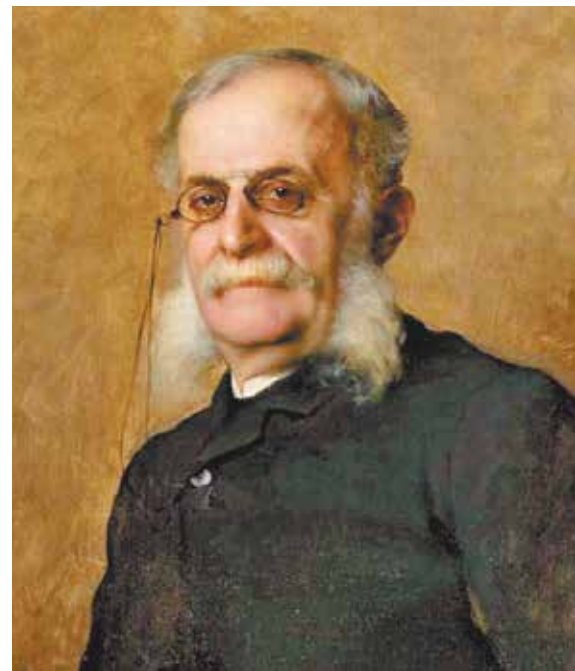
– Wielka sztuka – odpowiedział surowy Argus – patrz pan, ile tu musiałem wyrzucić i jakem się napracowałem.

I pokazywał rękopis cały pokreślony, a w nim powymazywane najpiękniejsze ustępy, istne perełki poezji. Chcąc też wyrobić »niesumienego młodzieńca«, powierzał mu najsuchsze i najpospolitsze roboty reporterskie”.

Duch opiekuńczy Edwarda Leo

Nic więc dziwnego, że Sienkiewicz stracił wszelką ochotę do dalszego pisania i myślał poważnie o opuszczeniu „Gazety Polskiej”. Po latach, gdy sam już zasiadł w fotelu redaktora warszawskiego „Słowa”, tak wspominał twardą szkołę Sikorskiego: „W swoim czasie pisywałem kroniki dla jednego z redaktorów, który całą swą postacią uosabiał bóstwo zwane w starożytności *Jupiter tonans*... [Jowisz grzmiący]. Co sobota przelewałem cały liryzm mej młodej duszy w czterysta wierszy kroniki, w piątek odczytywałem te liryczne kroniki na sesji... i cóż powiecie: oczy mojego redaktora zachodziły krwią, broda rozwiewała się na pół horyzontu, a z głębi tej brody wychodził grzmiący głos: »Mój panie! ja nie proszę pana o poezję! mnie trzeba faktów!...« »Panie – odpowiadałem – skądże ich wezmę, przecie to nie ode mnie zależy!« – »Mnie trzeba faktów! – grzmiał redaktor: – Ja się nie łapię na piękno brzmiące frazesy!...« – Czuję się bardzo nieszczęśliwy [...]”.

I rzeczywiście, zgnębiony Litwos zerwał współpracę z dziennikiem, przystępując wraz z przyjaciółmi do spółki wydającej „Niwę”. Jednakże, na całe szczęście dla naszego pisma, po roku powrócił do „Gazety Polskiej”, która zmieniła właśnie redaktora naczelnego. Został nim



Edward Leo. Redaktor naczelny „Gazety Polskiej”. Portret Leopolda Horowitza, źródło: Muzeum Narodowe w Warszawie

teraz Edward Leo – prawnik z wykształcenia, błyskotliwy i inteligentny rozmówca, niezrównany „kalamburzysta na gruncie towarzyskim”. Z życzliwością odnosił się do członków swojego zespołu redakcyjnego. Sam pisał niewiele, ale, jak mało kto, znał się na ludziach. Był łowcą talentów. Wspierał dobrze zapowiadających się literatów i dziennikarzy, toteż od razu poznał się na naszym felietoniście i przyjął go z otwartymi rękoma, zachęcając do pisania i ułatwiając start literacki. Sienkiewicz, uwolniony spod kurateli Sikorskiego, mógł wreszcie rozwinąć skrzydła jako autor czterdziestu znakomitych felietonów pod tytułem „Chwila obecna” (1875).

Chochlik-felietonista i surowy krytyk

Sienkiewicz, wcielając się w rolę stołecznego reportera, począł uważniej wsłuchiwać się w codzienny rytm życia miasta i spoglądać na nie z zupełnie innej perspektywy. Chociaż dopiero rozpoczynał karierę dziennikarską, swą opowieść o Warszawie zaprawiał świetnym humorem, właściwym wytrawnemu felietoniście. Nieprzypadkowo więc przyłączono do niego miano „chochlika-felietonisty”, bo miasto i jego mieszkańców ukazywał w krzywym zwierciadle, jak czynił to niegdyś Ignacy Krasicki w swoich bajkach i satyrach. Czytając jego artykuły, warszawiacy śmiali się z samych siebie, ze swoich ułomności, tandetnych gustów, lenistwa, egoizmu, niesłusownych zachowań czy braku elementarnej wiedzy.

W swych felietonach Sienkiewicz okazał się nie tylko znakomitym humorystą, lecz także bystrym obserwatorem polskiego społeczeństwa i „malarzem stolicy”, który tworzy wielowymiarowe studium Warszawy, odsłaniając wszystkie chyba sfery jej życia. Pisał „o prasie periodycznej, polityce, o nas i o Niemcach, o szkołach, odczytach, projektach, rautach i koncertach, Przytulisku i Biurze Nędzy Wyjątkowej, o wiośnie” – by wspomnieć chociażby tematy poruszane w jego debiutanckim felietonie. Bywał wszędzie, obserwował wszystko i podejmował każdy temat. Odtwarzał sceny i scenki rozgrywane się na ulicach Warszawy – na Miodowej, Marszałkowskiej, na placu Ujazdowskim, w Ogrodzie Saskim czy na tle pięknych nadbrzeży wiślanych. Pisał ze swadą, co ciekawego grano na deskach Teatru Rozmaitości i Teatru Letniego, jakie osobliwości pojawiały się na arenie cyrku Salomońskiego i jakie tajemnice krył wędrowny zwierzyniec pana Bartelsa. Kreślił barwne obrazki z sal koncertowych, pracowni malarskich i głośnych w stolicy balów karnawałowych. Nie mogło go zabraknąć na posiedzeniach towarzystw dobroczynnych, podczas popisów szkolnych w gimnazjum realnym i na odczytach znanych warszawskich osobistości. Bywał na loterii fantowej w Parku Aleksandryjskim i w pijalni wód Ogrodu Saskiego, w murach nowo otwartego zakładu rękodzielniczego dla kobiet i na zebraniach w Resursie Kupieckiej.



Opuszczona plebania. Obraz Adama Chmielowskiego, którego poznał Sienkiewicz w salonie Modrzejewskiej

siódmym piętrze jednej z warszawskich kamienic, zdołałszy urządzić w niej prowizoryczną pracownię. Choć klepali biedę na miejskim bruku, swobodnie i dobrze czuli się w salonie Modrzejewskiej, do którego, grając na flecie, wprowadzał swych towarzyszy Chełmoński. Powszechne zainteresowanie, szacunek i podziw budziła postać Chmielowskiego – powstańca styczniowego i utalentowanego malarza. W jednej z bitew został ciężko ranny, trafił do wiejskiej chaty i w prymitywnych warunkach, bez znieczulenia, amputowano mu nogę. Mówiono nawet, że sam trzymał świeczkę przy operacji. Na Sienkiewicza uczynił wielkie wrażenie. Był bowiem człowiekiem niezłomnym, który wbrew swemu kalectwu i nędzy, oddawał się bez reszty malarstwu. Nasz felietonista, bywając w atelier Chmielowskiego, mógł podziwiać jego obrazy, w których wyrażała się wiara w duchowy wymiar widzialnej rzeczywistości. Szczególnie jeden zapadł mu głęboko w pamięć. Był to elegijno-nostalgiczny „Pogrzeb samobójcy” – malarski nokturn, mroczny, tajemniczy i symboliczny, dotykający zagadki istnienia. Po czterech latach Chmielowski miał rozpocząć pracę nad



Bal karnawałowy w stolicy

Charakter zabaw jest kosmopolityczny

I tak oto przenosi nas w poniedziałek wielkanocny 1873 r. na plac Ujazdowski (dziś Trzech Krzyży), gdzie po mszy napływały odświętne i rozradowane tłumy warszawian, nie mogąc się już doczekać huśtawek, karuzeli, diabelskich młynów i słynnego słupa, na którym „najszczęśliwszy i najzręczniejszy zwycięzca znajduje ubranie, zegarek, kilka rubli, a na koniec butelkę wina dla pokrzepienia sił zwątlonych”. Nie mniejszą popularnością cieszyły się budy teatralne, w których roiło się od błaznów mających odegrać główne role w rozśmieszaniu widzów. Zwykle cały występ trefnisiów polegał na „gestach, żywo przypominających darwinowskie pochodzenie człowieka”, bo niewybredny tłum niewiele potrzebował do śmiechu: „Publika bije szalone brawo, śmieje się, skacze; starsi i młodszy porywają się za głowy na znak, że temu, co widzą, niepodobna uwierzyć; [...] klną, płaczą ze śmiechu, ścisną się wzajemnie!... Obok tego wszystkiego skrzypią huśtawki, huczą karuzele; ruch, gwar, wykrzyki przekupniów, wrzawa i śmiechy dziatwy nadają zebraniom tym nader wesoły i ruchliwy pozór”. Kto by jednak w tym wszystkim poszukiwał czegoś z ducha Warszawy, ten by się z pewnością bardzo rozczarował, bo charakter tych zabaw, jak podkreśla Sienkiewicz, jest kosmopolityczny, „więcej hulawczy niż typowy, więcej wesoły niż moralny”.

„Saturnalia żołądkowe”

Doskonałym polem obserwacji socjologiczno-obyczajowej stał się dla Litwosa czas karnawału w Warszawie. Sam zaś karnawał miał według niego własną filozofię. Był „epoką szału ludzkości” po przeżytych biorącym w karby wszystkie ludzkie porywy i żądze, tłumione skutecznie i trzymane w ryzach przez system życia społecznego. Porównywał go Sienkiewicz do maszyny, która tylko na krótki czas „podnosiła kłapy bezpieczeństwa” i pozwalała, by nagromadzona w ciągu minionych miesięcy niespożyta energia znalazła wreszcie swoje ujście. W Warszawie natomiast, jak zauważył rozczarowany Litwos, szła karnawałowa „zmiana siedliska”, przenosząc się z serca do... żołądka! Bale i wieczory taneczne w domach prywatnych zastąpiły „saturnalia żołądkowe”. Zamiast tańczyć, oddawano się rozkoszom podniebienia! Był to zupełnie nowy obyczaj, który nie tyle zadziwił naszego felietonistę, co go poważnie zmartwił, bo stanowił „ostatni cios zadany poezji życia warszawskiego”. Wspominał więc z nieukrywaniem żalem, jak niegdyś „rozogniona mazurem, rozmarzona walcem, wreszcie rozkołysana kadrylem tancerka z biciem serca, ze wzruszeniem słuchała szeptów miłosnych tancerza, w którym wir tańca wszystkie uczucia spotęgował! Było życie w tańcu, była poezja, ale jakżeż to będzie z obiadami!” – z przekąsem zwracał się do czytelników Litwos, kreśląc karykaturalny obraz współczesnego szaleństwa karnawałowego z udziałem wygłodniałego towarzystwa przy suto nakrytych stołach. I nawet kiedy przychylny los sprawi, że obok kawalera zasiądzie zachwycająca panna, to trudno ulec jej wdziękowi, kiedy kelner szepce słodko do ucha nazwy win: „Lafite czy Yquem?” bądź gdy „lokaljskie szpony nicianymi rękawiczkami okryte” stawiają przed nim półmisek z jakimś kulinarnym dziwem. Jak więc powiedzieć czarującej towarzysze komplement o łabędziej szyi i śnieżnej białości ramion, gdy romanowaniu nie sprzyja i deser, a później kawa, likiery i cygaro. „Ostatni kłęb dymu z ust wypuszczony zwiastuje początek trawienia; jakże tu kochać, kiedy chciałoby się drzemać?”.

Litwos drwił z zachowania złotej młodzieży warszawskiej, z milczkowatości kawalerów, z nieumiejętności prowadzenia interesującej konwersacji, z braku salonowej oglądy i zachęcał, by wrócić do dawnego sposobu bawienia się, bo „na tej drodze zatraci się tradycja miłości, której epoka karnawałowa zawsze najobszerniej przedstawia pole”.

Tak było...

Gdy zaś wybrał się w noc świętojańską nad brzegi Wisły i ujrzał błyszczące w wodzie kolumny świateł, ciemne kontury drzew Saskiej Kępy i bezbrzeżne przestrzenie spowite mglistą zasłoną, wówczas zapragnął wsiąść do łodzi i przenieść się w najodleglejsze czasy, by przeżyć



Dla społeczeństwa, dla kraju

Czytelników zasypywał nie tylko tysiącem nowinek z życia stolicy, lecz także odsłaniał realia innych polskich miast, miasteczek i wsi. Nie ograniczał się jedynie do suchych informacji, ale pragnął przeobrazić rzeczywistość, oddziaływać na opinię publiczną, zmieniać Polskę i Polaków. Nawoływał do „zakładania straży ogniwych, szkółek, ochronek, jedwabnictwa, muzeów, resurs rzemieślniczych, ogrodów zoologicznych, spółek, banków, regulowania brzegów Wisły”. Pragnął oświecenia i odrodzenia narodu, wzmocnienia więzi wspólnotowej i modernizacji kraju. Stąd pod warstwą kreślonych z humorem scen, obrazów i barwnych opisów odnajdziemy ideały wytrwałej i ofiarnej pracy na rzecz rozwoju społeczeństwa oraz dźwignia kraju z zastój gospodarczego panującego w warunkach narodowej niewoli.



Kronikarz Warszawy

W swoich felietonach Sienkiewicz kreślił jedyne w swoim rodzaju studium obyczajowe Warszawy w szczególnych momentach jej świątecznego kalendarza, nie powstrzymując się przy tym od krytycznych uwag zaprawionych ironią.



O tempora, o mores! Co za czasy! Co za obyczaje! – mógłby śmiało za Ciceronem powiedzieć nasz felietonista – zdegustowany i rozczarowany odchodzeniem od pięknych polskich tradycji, zanikiem dawnej obyczajowości bądź zastąpieniem jej prymitywnymi formami rozrywki.

Sienkiewicza irytował wszechobecny w mieście brud, który, o zgrozo, oblepił nawet warszawską Syrenę, to dziecię natury, „gołe jak święty turecki”. Szedł nawet o zakład, że „brudniejsza Syrena nie egzystowała nigdy na świecie”. Powszechny widok stanowią też w Warszawie niegrzeszące czystością omnibusy ciągnięte przez konie-szkielety, które wyglądają na niezdołne do dźwignia samych siebie. Po zmroku zaś miasto ogarniają egipskie ciemności. Towarzystwo Gazowe troszczyło się znacznie lepiej o moralność warszawian niż o ich bezpieczeństwo, bo jak tłumaczy Litwos, kazało „latarnie gasić na ulicach jak najprędzej, aby dobrzy obywatele nie mogli włożyć się po nocach, ale spali raczej w domach, na łóżkach swoich i na poduszkach swoich, i pod kołdrami swymi”. We znaki dawał mu się też niesamowity ścisk na największych ulicach Warszawy – Senatorskiej, Wierzbowej, Żabiej i Granicznej – najruchliwszych i najciaśniejszych zarazem, którymi wlokły się bez końca wozy, powózki, furmanki, fury z drzewem, „podczas gdy inne ulice, szerokie i wygodne, przez cały dzień nie słyszały skrzypnięcia koła”.

noc Kupały, jak czyniono to przed wiekami. Puszczal więc wodze fantazji i przed swymi czytelnikami rozciągał iście romantyczną wizję sobótkowej nocy, rodem ze „Starej baśni” Kraszewskiego:

„Poeci prawią, że w dawnych, zamierzchłych czasach w dzień ten, gdy słońce kryło już złotowłosą głowę za sosnowe bory, [...], wówczas cały kraj zmieniał się w jedno czarodziejskie koło nadzmysłowych złudzeń i omamień. Na wzgórzach błyskały światła sobótek; po rosie, z łąk i zielonych dąbrów, echo niosło głosy pastuszych ligawek i słowa pieśni i okrzyków: »Hej Kupała! hej, wielki Kupała!« [...] Naokół słyszałeś niby westchnienia z pozaświatowych piersi wydobyte [...]. Dziwożona, kołysząc się nad przepaścią, zwieszona z gałęzi olchy, śpiewała: »Pójdź tu do mnie, chłopcze młody!« Po stawach i jeziorach wabiły świtezianki; z trzciny dochodziły wycia topielców. Dusze zmarłych obsiadały, niby kawki, samotne polne grusze. Na murach cmentarnych kwiliły duszyczki zmarłych dzieciątek. Po bagnach podskakiwały błędne ogniki. Wszędzie tajemniczo, straszno! [...] W takie to noce ponad chłodne strumienie, oświetlone wierzbą i kaliną, porośnięte niezabudką, tatarakiem, warzęchą i płaskim liściem lilii wodnych, wychodziły przy świetle pochodni ubrane w bieli dziewice rzucać wianki na fale [...], a za wiankiem rozlegał się plusk wiosel i wyciągały ręce młodzieńcze. Srebrny księżyc i czerwone pochodnie oświecały uroczystość. Czar chwytal wszystkie serca. [...] Wszystko stawało się poezją. Wszystko kochało i odwzajemniało miłość: dziewice były niewinne, młodzieńcy cnotliwi, stali w miłości i mężni”.

...tak jest

Dziś z tej poetycznej aury – narzeka Litwos – prawie już nie zostało. Z borów i lasów, w których działały się świętojańskie cuda, zostały się tylko czarne sterzące pniaki, na których „najpowieńsze duchy, gdyby nawet chciały hasać, połamałyby sobie nogi”. Na ulicach Warszawy spotkamy wprawdzie świtezianki i rusałki wystrojone według żurnalów i mające swymi wdziękami kawalerów w Ogrodzie Saskim, ale ród męski stał się odporny na kobiece czary – „dziś już ani śpiewem, ani niezabudką nikt go nie wywiedzie w pole, «jeno mu trzeba posag postawić na stole»”. Dziwożony zaś – jak żartobliwie o współczesnych damach pisze Litwos – jeżdżą łatem do wód, by rozkoszować się kąpielami leczniczymi, a swoje dzieci

Sienkiewicz przyglądał się wnikliwie „nadwiślańskiej arystokracji”, która przypominała mu ptactwo czyhające na łup. Właściciele łódek czekają bowiem przy brzegach w pogotowiu aż jakiś statek parowy ugrzęźnie na piasku bądź galar rozbije się o filary mostu i wtedy wśród radosnych okrzyków spieszą, by wybawić nieszczęsnych z opresji. Gdy zaś spełnią swe heroiczne czyny, przywiązują łódki do brzegów i podśpiewują wesoło: „Przez dzień całe i noce/ Wisła szumi, bełkoce”. Nie mogą doczekać się lata, które zwykle bywa prawdziwym żniwem dla przewoźników. Wówczas rozradowane tłumy warszawiaków płyną na Saską Kępę, a echo ich wesołych pieśni niesie fale. Litwos płynie razem z nimi i nie może oprzeć się pięknu nadwiślańskich zakątków, których prawdziwie poetyczny czar odkrywa nocną porą: „Gdy mgła w fantastycznych kłębach pokryje brzegi, na galarach błyszczą dalekie światła, czasem uszu doleci piosnka flisaka; czasem na mrocznym tle zarysuje się parowiec i odetchnąwszy dymem, jakby z czeluści piekielnej rozsypie złote snopy iskier, po których głębsza jeszcze ciemność na falach”. Prawdziwych piękności nie trzeba więc szukać nad Renem, wystarczy przyjść nad Wisłę – zachęcał swych rodaków, bo tu przed oczami widza rozgrywał się niesamowity spektakl natury.



zostawiają pod opieką bon francuskich. I jak przed wiekami, tak i teraz „w sposób arcynowożytny” wiodą mężczyzn na skraj przepaści, a dokładniej bankructwa, a to wszystko za sprawą swych wygórowanych zachcianek – najmodniejszej garderoby, balów, koncertów, zagranicznych wojaży, działalności dobroczynnej, która opiera się na zasadzie „co grosz na ubogiego, to tysiąc na toaletę”. Dziś dzień św. Jana to już tylko termin i to termin płatniczy – skarży się Litwos. Zamiast wyławiać wianki z Wisły, potencjalny kawaler musi zapłacić ratę w Towarzystwie Kredytowym Wiejskim i Miejskim, w ten dzień zaprasza go w swe progi Bank Handlowy, a gospodarz podnosi komorne. Nawet jeśli w noc Kupały wianki rzucone zostaną na wiślane wody, to z symbolem niewinności nie mają zbyt wiele wspólnego, bo fałom powierzają je nie panny ciekawe swego losu, lecz warszawscy rzemieślnicy – rzeźnicy, piekarze i stolarze, a za ich wieńcami ruszają w pogoń rybackie łodzie. Noc Kupały w Warszawie przybrała więc charakter wyścigów wodnych, które wieńczył zwyczaj zapalania o zmroku beczki ze smołą, co może najbardziej przypominało starożytne święto sobótkowe.

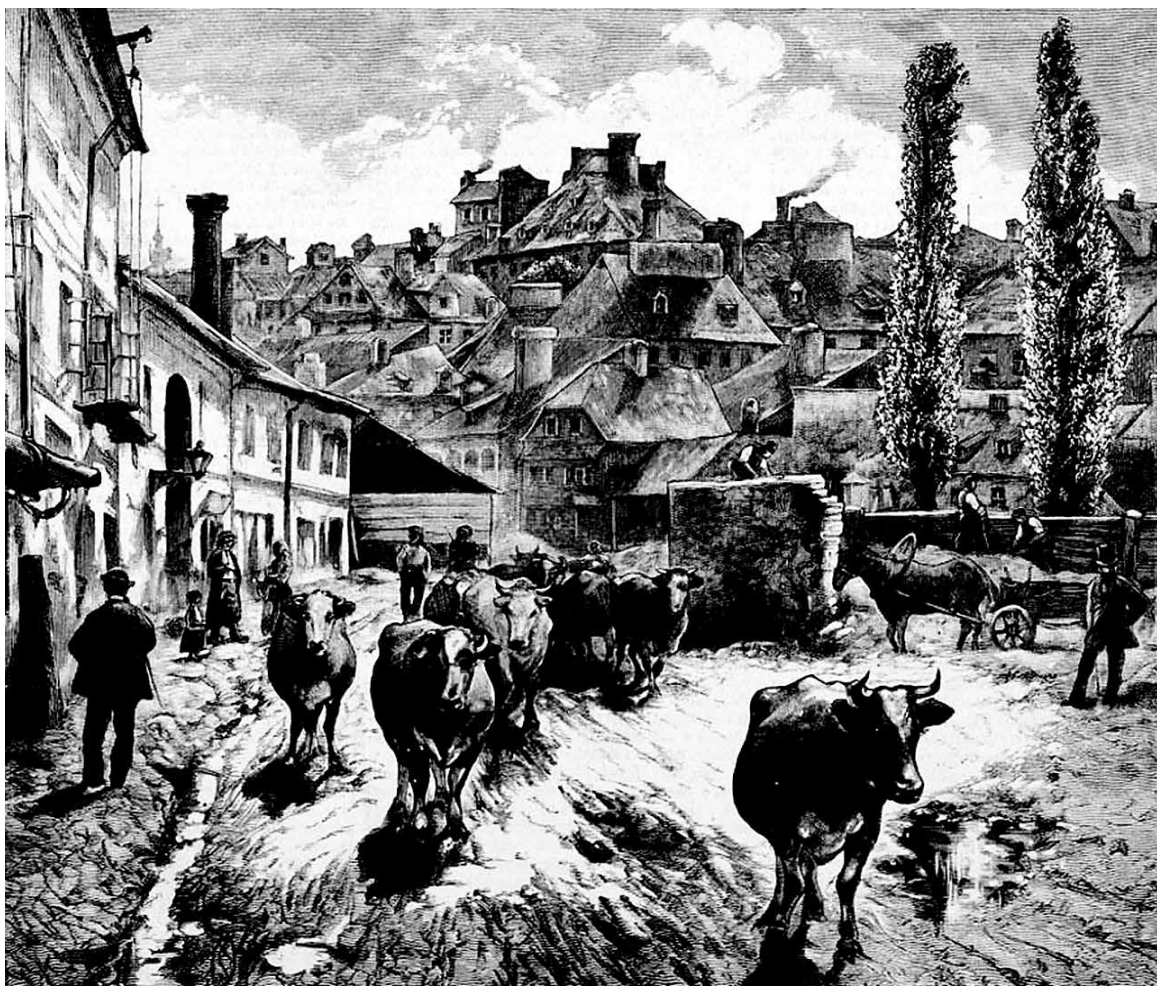
Sienkiewicz, jak widać, zakładając maskę kpiarza, staje się krytykiem współczesnej obyczajowości, którą przeciwstawia dawnym, dobrym czasom, dostrzegając, że odejście od tradycji na rzecz prymitywnych instynktów i egoistycznych zachcianek czyni nas istotami wyzbytymi głębszych pragnień i ambicji, niewolnikami szarej rzeczywistości, wyjąłowionymi z marzeń materialistami.

Fetor, pół fury śniegu i zalany teatr

Oczami Sienkiewicza możemy spojrzeć także na inny zgoła aspekt życia XIX-wiecznej Warszawy, którą uznał za „najgorzej zabrukowane i oświetlone ze wszystkich wielkich miast europejskich”, twierdząc nawet, że gdyby zorganizowano konkurs na złe bruki i latarnie, niezawodnie otrzymalibyśmy pierwszą nagrodę. Na tym jednak nie koniec, bo Litwos wprowadza nas w sam środek miejskiego piekła w czas upalnego lata, gdy w oczy i usta mieszkańców stolicy wżerają się tumany kurzu, a rozchodzący się zewsząd fetor ścieków miesza się z dymem i kurzem, zwieszając się niczym ołowiana chmura nad stolicą. Wtedy to można powiedzieć, że „Warszawa, którą ze względu na piękność jej mieszkańek nazywają rajem dla oczu, ze względu zaś na ilość katarynek i fortepianów [...] – czyśćcem dla uszu, że ta Warszawa jest piekłem dla każdego nosa, który się w niej nie urodził, z niej nie żył, nie zakataczał i nie wychował. A jednak – jak stwierdził nie bez ironii Sienkiewicz – Warszawa podoba się cudzoziemcom. [...] Koło pałaców stoją na pryncypialnych ulicach na wpół rozwalające się chałupy – to różnaitość miła dla oka. W nocy ciemno – to romantyczne, w dzień brudno – to oryginalne. Ha! widocznie mamy szczęście”. Wcale nie lepiej jest tu zimą. Nie trzeba się wybierać do zagranicznych zakładów hydropatycznych – stwierdził z całym przekonaniem Litwos – wystarczy znaleźć się w „naszej pocziwej Warszawie”, gdy mróz puści i zaczną się roztopić. Wtedy, niewątpliwie, skorzystać można z bezpłatnej kuracji wodnej. Oto instrukcja dla potencjalnego kuracjusza: „Dość, niech chory wyjdzie na ulicę, pierwszą lepszą, jaka mu się będzie podobać, i przejdzie chodnikami kilkadziesiąt kroków, za kołnierz tyle mu naleci najzimniejszej w świecie wody, że wystarczy to na uśmierzenie choćby najuporczywszej gorączki. Że zaś czasami [...] zleci mu z wysokości trzeciego piętra na głowę jaki kawałek lodu ważący około czterdziestu funtów albo [...] pół fury śniegu – no, to przynajmniej cierpienia jego skończą się raz na zawsze”. Nawet goście teatru, jak donosił nasz felietonista, mogli liczyć na specjalne atrakcje, bo podczas przedstawienia na głowy lała się im ciurkiem woda z dziurawego dachu.

Filut znad Wisły

W swoich felietonach starał się uchwycić niepowtarzalny klimat Warszawy, odślonić pełnię życia, skreślić galerię oryginalnych postaci tworzących żywy organizm miasta. Tak na przykład przenosił nas nad malownicze brzegi Wisły, przybliżając specyficzne dla tych okolic typy „nadwiślaków”, czyli miejscowej ludności przewoźniczej. W jego oczach stanowiła ona jakby osobną klasę, wewnątrz zróżnicowaną, która ma własną arystokrację i własny plebs. Do pierwszej, uprzywilejowanej kategorii



Ulica Rybaki w Warszawie. Rysunek Aleksandra Gierymskiego.



Handel uliczny stolicy. Stragan z łakociami. Rysunek M. E. Andriollego

zaliczał właścicieli łódek i sieci rybackich, a do drugiej tych wszystkich, którzy posiadają tylko bulwar, leżąc na nim do góry brzuchem i wygrzewając się do woli. Według Litwosa „ten ostatni typ jest najcharakterystyczniejszy; z niego to rekrutują się zwykle szeregi Gavroche’ów warszawskich”, a więc setki wyrostków w wieku od dziesięciu do szesnastu lat, pędzących leniwe godziny nad wodą i żyjących ze sprzedaży piasku. Najczęściej takiego miejskiego franta zobaczyć można, jak leżąc na wznak z rękoma pod głową, wpatruje się beztrząsowo w chmury bądź jak pali papierosa, gwizdząc czy gra w kamyki. Tajemnicą jest jego stałe miejsce zamieszkania i „on sam częstokroć nie przypomina sobie, gdzie mieszka”. O jego zabobonności i pobożności mogłoby świadczyć to, że zaklina się na wszystkie świętości, ale „klnie przy tym z taką precyzją i biegłością, że nikt mu w tym wyrównać nie zdoła”. Ma swój własny język, w którym powtarza się ustawicznie słowo „ci”. Mówi więc: „On ci przyszedł do mnie; żebym ci mu dał dulca” (dzięsiatkę). Sienkiewicz we właściwym sobie stylu kpiarza i krytyka polskiej rzeczywistości pisze, że ów nadwiślański Gavroche „w Warszawie ma dwóch przyjaciół: króla Zygmunta i Kopernika. O tym ostatnim niewiele wie, ponieważ wiadomości jego astronomiczne i historyczne są w dość opłakanym stanie [...]. Nie rozumiał też ostatniego jubileuszu [400. rocznica urodzin Kopernika] i wcale nie mógł sobie zdać sprawy z niego. »Co oni ci mu wieńce na głowę kładą! Chyba powariowali«. – Smutna to ignorancja; ale jeżeli przypominamy sobie, że jakaś, widocznie dość zamożna, dama ofiarowała wcale sporą sumkę na wdowę po Koperniku, przestaniemy się dziwić nieświadomości nadwiślaka”. Ten wprawiający nas w dobry humor opis filuta znad Wisły zawiera w sobie gorzką prawdę o losie tych zepchniętych na marginesie dzieci Warszawy, bezdomnych, pozbawionych oświaty i lepszych perspektyw na przyszłość.

Teatryk, cyrk i... para krokodyli

Sienkiewicz odkrywa wiele zakątków XIX-wiecznej Warszawy. Prowadzi nas na przykład na Miodową do najsłynniejszego teatryku ogródkowego – do legendarnej Alhambry, w której spotykali się mniej i bardziej wytrawni odbiorcy sztuki. Dla naszego felietonisty było to jedno z najurokliwszych miejsc ówczesnej Warszawy. W „Chwili obecnej” pisał o niej z zachwytem: „Teatr i bazar, dramat i papierosy, zachwyty sceniczne i noc gwiaździsta nad głową – cóż to za sprzeczne żywioły – w krzesłach widzowie z kapeluszykami [...]; za barierką publika; prosto-

dusznym, zapalnym, ciekawym, wołającym co chwila: »Głośniej! głośniej!«, [...] skłonna do oklasków a niecierpliwa”. Teatryki te miały w sobie wiele uroku i swobody. Zbierało się tu dość specyficzne, choć budzące sympatię towarzystwo. Pośród zgromadzonych dostrzega Sienkiewicz młodych paniczów, którzy przyszli tu specjalnie dla brylantowych oczu panny Czesi, dalej widzi kilku ze szlachty rozprawiających o cenach wełny zamiast o sztuce i aktorach, a obok rzemieślników kłócących się z Żydkiem o miejsce blisko filaru. Słowem jest to „mieszanka głosów, języków, warstw społecznych, wychowań, usposobień; istna wieża Babel z ludzi połączonych z sobą tylko nadzieją odpoczynku, swobody i rozrywki”.

Niemniej atrakcyjnym miejscem dla warszawiaków był cyrk Salamońskiego, który w oczach Sienkiewicza stanowił formę pograniczną między sztuką teatralną a masową rozrywką dla tłumów. Z pewnością zaś był barwnym elementem miejskiego życia i doskonałym obiektem parodii prześmiewczego felietonisty, który uznał Warszawę za prawdziwy raj dla wszelkiego rodzaju osobliwości, dodając nie bez ironii, że „kto tylko ma zbyt krótkie nogi, zbyt wielką głowę albo cokolwiek za wielki żołądek, może śmiało przyjeżdżać do nas, a niezawodnie po jakim miesiącu pobytu zarobi wcale sporo grosiwa”. Nie omieszkał więc zapoznać swoich czytelników z cudacznymi istotami cyrkowymi – między innymi z komiczną foką, która chodziła na dwóch nogach, mówiła po niemiecku i ubierała się w kobiece suknie, choć złośliwi twierdzili nawet, że to żona cyrkowego impresaria, jednak wszelkie wątpliwości rozwiewała stojąc obok balia z wodą. Swoistym kuriozum budzącym nie mniejsze emocje wśród widzów okazała się ucięta głowa, która mówiła i jadła befsztyk. Publiczność żadną miarą nie mogła zrozumieć, gdzie po zjedzeniu trafia owa potrawa. Gdy niepokój narastał, a emocje sięgały zenitu, sprawą w końcu zajęła się policja, odnajdując resztę kadłuba ukrytego starannie pod stołem, na którym spoczywała osobliwa głowa.

Ale nic nie dawało się porównać z występem w warszawskim teatrze Rappo pary małżonków z Ameryki: „Spytacie zapewne – podsyca ciekawość Litwos – w czym może być ciekawsza para małżonków amerykańskich od takiej samej europejskiej? Otóż istotnie jest ciekawsza – małżonek bowiem ma, jak donosi »Kurier Codzienny«, lat 116, żona zaś 49. Mimo tak poważnych lat, oboje są jeszcze rzeźwi, silni i zapewne pełni nadziei na przyszłość. Urodzili się oboje i chowali nad brzegiem Missisipi, żyjąc tym, co które mogło w wodzie lub na brzegach ułowić. Życie to na łonie natury wyrobiło

w nich niezwykłą siłę, zdrowie i wielkość. Małżonek ma pięć łokci wzrostu i apetyt tak wielki, że może zjeść od razu do dwudziestu a nawet trzydziestu funtów mięsa. Powierzchność jego jest jednak odrażająca i straszliwa. Oboje tak przywykli do wody, że nie pokazują się inaczej, jak siedząc w obszernym prostokątnym basenie napełnionym ogrzaną cokolwiek wodą. Krótko mówiąc, jest to para krokodyli złowionych w północnej Ameryce i obwożonych po całym świecie na pokaz”. Chociaż Sienkiewicz rozbawia do łez czytelników opisami cyrkowych numerów, to jednak irytują go niewybredne gusty warszawian, dla których cyrk jest formą rozrywki w najwyższym stopniu zaspokajającą ich potrzeby intelektualne i gusty estetyczne. Pisząc na przykład, że niedługo ma zjechać do teatru Rappo towarzystwo akrobatów, jednocześnie opatruje tę zapowiedź dwuznacznie brzmiącym komentarzem: „Kto chce u nas zabijać czas i tracić pieniądze, ten w więcej lub mniej elegancki sposób może to czynić z całą swobodą, bez uskarżania się na brak sposobności”.



„Prawdziwe miasto śmierci.” Reportaż z Pułtuska

Wśród przesuwających się przed naszymi oczyma nieprzeliczonych scen i obrazów z życia codziennego Warszawy i jej okolic odnajdziemy również i te pełne dramatyzmu.

Oto 24 lipca 1875 r., bawiącego w kawiarni u Lessla Sienkiewicza, który gawędził sobie spokojnie z redaktorem Edwardem Leo i Tadeuszem Czapelkiem, kolegą po piórze, poraziła nagła wiadomość o szalejącym pożarze w Pułtusku. Doniesiono, że całe miasto stanęło w ogniu, sugerowano nawet podpalenie przez Moskali.

Wszędzie zwaliska i zwaliska

Pierwszy poderwał się, niewiele myśląc, Czapelki z okrzykiem – „Jadę!”. Jednocześnie z propozycją wyjazdu zwrócił się do naszego felietonisty Edward Leo. – „Już pojechałem” – zgodził się od razu Sienkiewicz. Wraz z Czapelkiem chwycili tylko okrycia i na nic nie czekając, wsiedli do „sztajnkelerki”, przedpotopowej ekstrapocztę. Do Pułtuska dotarli już o zmroku, spotykając po drodze zrozpaczonych ludzi. Według jednych w mieście spaliło się już wszystko, a według innych część była jeszcze do uratowania. W każdym razie zapanaowała tu wszechogarniająca apatia. „Nic nie pomoże, musimy się spalić” – powtarzano powszechnie, bowiem rozpacz doszła do najwyższego stopnia. Już na obrzeżach miasta, przesłoniętego wielką chmurą dymu, Sienkiewicz ujrzał najpierw obozowisko Żydów szabasowych, którzy utraciwszy wszystko, trwali nieruchomo w wielkiej ciszy, modląc się „tylko milczeniem rozpacz i łzami, i głodem jutrzejszym, i dolą przyszłą, twardą jak kamień”. Sienkiewicz pisze, że gdy ujrzał miasto, pióro wypadło mu z ręki: „Na niebie był już mrok: resztki rozprzeczłego światła walczyły z cieniami nocy, a wśród tych szarych tonów powietrza, jak okiem zasięgnął, patrzyła na nas pustka. Zreby murów, stopy gruzu, zwalone jedne na drugie, gromady okopconych cegieł, poczerńnięte, sterczące sylwetki kominów rysowały się w dziwnie fantastycz-



Franciszek Kostrzewski „Pogorzelnicy”

nych kształtach na tle mroku. [...] Nigdzie ani śladu ulic. Wszędzie zwaliska i zwaliska [...]. Rozpalona powierzchnia gruntu parzyła nasze nogi, gorąco i woń spalenizny tamowały oddech w piersiach. Wszędzie duszno a pusto, ani jednej żywej istoty, wszyscy pociekali stąd, jakby z miejsc przez Boga przeklętych”. Na rumowisku spotkał tylko błądzącą parę ludzi – mężczyznę i kobietę. Byli od roku małżeństwem, mieli w Pułtuskę własny dom i żyli tu szczęśliwie.

„– Oto co nam zostało z całego gospodarstwa” – lamentowała młoda kobieta, wskazując niesiony przez męża koszyczek.

„– Zdajecie się państwo czegoś szukać?” – zapytał.

„– Chcieliśmy choć jeszcze raz popatrzeć na dom, w którym przeżyliśmy rok razem, ale nie możemy znaleźć ani ulicy. Chcieliśmy...”

Urwała nagle, bo łzy tłumiły jej słowa w piersiach [...].

Nie mieli dachu nad głową, nie mieli ani grosza majątku, byli głodni, nie wiedzieli, co począć, gdzie się podziać”.

„Szare anioły miłosierdzia”

Wtem krwawa łuna błysnęła w końcu miasta. Sienkiewicz podniósł głowę... To palił się szpital. Pobiegł tam natychmiast. Zobaczył gromadę ludzi. Jedni stali bezradnie, a łuna pożaru odbijała się w ich znieruchomiałych źrenicach. Inni nieporadnie pracowali przy sikawkach, biegali po wodę, krzyczeli i przeklinali. Zapanaował zupełny chaos, a ogień brał wszystko w posiadanie: „Czerwony płomień huczał ponuro wewnątrz gmachu lub wychodził przez drzwi i okna na zewnątrz, liżąc potwornie długimi językami białe ściany, jakby się chciał w nich rozsmakować przed pożarciem”.

Na placu szpitalnym Sienkiewicz spotkał kilka zakonnic, które ogarnięte spokojem i rezygnacją miały w sobie jakby coś świętego. Zapytał je o los chorych. Zdołano uratować wszystkich i przenieść do pralni, która się jeszcze nie zapaliła. Potem jednak doniesiono, że trzech umarło z przerażenia. Siostry zakonne były niezmordowane w swej służbie, nie spały już trzecią dobę i tylko Bóg dodawał im siłę. Były to, jak pięknie powiedział o nich Litwos, „szare anioły miłosierdzia”. W tym czasie gorzało miejscowe progimnazjum i dopalała się biblioteka. Wiatr porywał płonące kartki i roznosił je jak ogniste ptaki na wszystkie strony, aż za Naraw. Płonął kościół benedyktyński – najpotężniejszy gmach w całym Pułtusku: „Wnętrze kościoła mroczne było i ciemne, w głębi tylko świeciły jeszcze rozżarzone węgle niby oczy jakichś nadprzyrodzonych istot patrzących spośród ciemności [...]. Zdawało się, że tam jest pełno duchów, które wyszły z podziemi kościelnych, zdziwione, że ktoś zakłócił im sen odwieczny”. Tymczasem nad miastem zapadła już głucha noc. Zdaniem Sienkiewicza ogrom klęski przeszedł wszystko, co można sobie wyobrazić. „Jednym wyrazem określającym to miejsce jest: okropność [...]. Zda się, że mieszka tu śmierć sama [...], szkielet z pustymi jamami oczu i złowrogą kosą. Zda się, że wysu-

nie się z pierwszego lepszego węgla, spojrzysz ci w oczy i porwie cię za sobą w ciemność i nicość.

Jest to prawdziwe miasto śmierci”.

Nieujarzmiony żywioł pochłoniął jeszcze gmach sądu, hipotekę, piękną bożnicę żydowską, aptekę, księgarnię Rafalskiego, z której nie uratowano ani jednej książki i około pięciuset innych prywatnych budowli. Ocalały tylko kościoły na rozleglejszych placach, więzienie, poczta, biuro powiatu, stary ratusz, dawny zamek biskupi, magazyn solny i koszary. O przyczynach pożaru mówiło się różnie. Według jednych było to podpalenie, drudzy obarczali winą mieszkańców usuniętych siłą z kwater wojskowych, którzy zmuszeni byli gotować w stajniach i chlewach, jeszcze inni twierdzili, że ogień ukazał się najpierw w piekarni żydowskiej między ulicą Kotlarską a Waliszewem. W każdym bądź razie wszystko miało wyjaśnić śledztwo sądowe.

Sienkiewicz oskarża

Przerażony ogromem strat reporter „Gazety Polskiej” przemierzał jeszcze ulice rynku – jedno wielkie rumowisko, na którym ludzie rozłożyli się obozem. Idąc, trzeba było uważać, żeby kogoś nie nadepnąć, bo ci wszyscy, którzy nie mieli już czego pilnować, urządzili tu sobie nocleg pod gołym niebem – bez siennika i bez słomy, po prostu na kamieniach. Miasto zaległa złowroga cisza, którą przerywał tylko głos pijanego człowieka pod murem: „Ej! ej! ej! i ujadanie psów w oddali. Litwos pomyślał wtedy: „Obok ruin i wycia psów – śpiew. Śpiew na zgliszczach! Ileż to kontrastów!”. Wszystkie te straszliwe obrazy zapadły mu głęboko w pamięć – miasto obrócone w perzynę, tysiące ludzi bez dachu nad głową, nędza, rozpacz i brak nadziei... Litwosem wstrząsały sprzeczne uczucia – z jednej strony litość dla pogorzalców, z drugiej – gniew i złość na ludzką bezmyślność i brak inicjatywy obywatelskiej. Swój felieton w „Gazecie Polskiej” kończy sugestywnym obrazem z miejsca tragedii. Otóż, gdy błądząc po zwaliskach Pułtuskę, zapalił cygare, spotkał się z ostrą reprimendą jakiegoś młodego człowieka, który rozkazał mu je natychmiast zgasić. „Mój panie – odrzekł poważnym tonem – mieliśmy dosyć nieszczęścia. Z pańskim cygarem znowu pan gdzie zaprószyś ogień i będziemy mieli nowy pożar”. Tego dla Litwosa było już za wiele. Toteż od razu w pierwszym swym felietonie stanął na stanowisku oskarżyciela nie tylko owego nad wyraz przezornego mieszkańca Pułtuskę, lecz także wszystkich współobywateli, którym zarzucił bierność i obojętność dla spraw społecznych. Zwracał się więc z wyrzutami do każdego z osobna:

„Każeś mi gasić moje cygare na ulicy, w której nie ma się co palić, w której gdybym był nie tylko palaczem, ale nawet podpalaczem, nie zdołałbym już ognia zaproszyć? Mój Boże, co za ostrożność! Co za ostrożność! A czytywałeś ty też, obywatelu, »Chwilę obecna?« A czy pamiętasz, ile razy w imię honoru, w imię poczucia obowiązku, w imię dobra ogółu zachęcałem ciebie [...] do formowania ochotniczych straży pożarnych? Czy też w twej zakutej głowie, w której z czasem

wróble będą gniazda kręcić, zakręciła się kiedy myśl, że trzeba i należy, że świętym obowiązkiem jest straż taką uformować i z toporem w dłoni biec na ratunek bliźnim we dnie czy w nocy? Nie. Zaiste nie! Wolałeś bić muchy na nosie, siedząc po całych dniach w miejscowej cukierni, wolałeś romansować z miejscowymi lafiryndami, [...] wolałeś politykować na miejscowej poczcie, wypalać cygara [...], wygładzać swój cylinder [...], wolałeś to wszystko, cny obywatelu, obiecując młodzieńcze, nadzieje na przyszłość, niż włożyć na głowę kawał blachy, zatknąć za pas siekierę i służyć swemu społeczeństwu w sposób najlepszy, w jaki możesz”. Ta gorzka refleksja kończąca felieton miała uświadomić Polakom, że każdy z nich powinien poczuć się odpowiedzialny za wspólnotę, w której żyje, za swą wielką i małą ojczyznę, bo obojętność i egoizm to największe grzechy społeczne.

IV

Krzewiciel postępu i obrońca ziemiańskości

Litwos okazał się surowym krytykiem polskiej rzeczywistości. Podróż na Zachód w 1874 r. uświadomiła mu jeszcze dobitniej, jak ogromna przepaść dzieli Polaków od wysoko rozwiniętych państw europejskich.

Stan zacofania kraju i paląca potrzeba zmian to tematy, które pochłaniają Sienkiewicza bez reszty. Jego diagnoza sytuacji gospodarczej nad Wisłą nie napawała wcale optymizmem: „Jesteśmy goli w porównaniu z zagranicą jak Łazarze – pisał bez ogródek – Przemysł nasz jest żaden; na drodze handlowej stawiamy pierwsze kroki; nasi lordowie wraz z całymi majątkami mogliby być plenipotentami lordów zagranicznych; nasi posiadacze ziemscy, stanowiący jądro społeczne, wegetują raczej na swych gospodarstwach; nasi włościanie nie umieją czytać i pisać”.

Cóż to za fabryka!

Z wielkim przejęciem śledził na łamach „Gazety Polskiej” wszelkie inicjatywy pobudzające rozwój gospodarczy kraju. W felietonach nie mogło więc zabraknąć opisu fabryki Ilnarskiej w Żyrardowie z jej „parowymi potworami”. Uruchomiona w 1829 r. stanowiła pierwszy tego typu zakład na terenach Cesarstwa Rosyjskiego, a z czasem jeden z największych i najnowocześniejszych w ówczesnej Europie. W drugiej połowie XIX wieku przejęta została przez austriackich inwestorów – Karola Augusta Dittricha i Karola Hiellego i im właśnie zawdzięczała swój największy rozkwit. Sienkiewicz nie byłby sobą, gdyby miał zaniechać wycieczki do Żyrardowa. I rzeczywiście, jego reporterska relacja z podwarszawskiej enklawy nowoczesnego przemysłu dawała do myślenia polskim przedsiębiorcom i była dla nich niewątpliwie podniecią do podjęcia podobnych działań: „Ach! Miły czytelniku, jakież cuda oglądały nasze oczy! – pisał rozentuzjasmowany Litwos po obejrzeniu Żyrardowa – Cóż to za fabryka!! Sale tam tak rozległe, że stojąc na jednym końcu, zaledwie rozeznasz rysy ludzi pracujących na drugim. Olbrzymie, straszliwe potwory parowe, rycząc groźnie i wywijając z piekielnym rozmachem żelaznymi ramionami, nadają ruch wszystkiemu. W przedzalni tysiące mniejszych i większych kół o smoczycy kształtach kręci się z przerażającą szybkością na osiach; wszę-



Szkoła fabryczna w Żyrardowie

dzie huk, łoskot i burza taka, że ani jednego słowa nie dosłyszysz. Ściany budynku drżą. Zda się, że wszystkie te maszyny żyją i mają dusze [...]. Patrząc na nie i wydaje ci się, że lada chwila wyciągną się ku tobie jakieś straszne ramiona i porwawszy rzucą cię na owe zęby, haki i pasy, które rozerwą ciało twe na atomy, zmielą je, uprzędą i zrobią z ciebie łókieć płótna [...]. Powoli jednak prawidłowość tych ruchów uspokaja wzburzone nerwy i chłodzi rozbujającą fantazję. Widzisz, że ów potwór, który ci się przed chwilą wydawał wściekłym, piastuje w swych objęciach subtelne [...] włókienko, niteczkę; snuje i nie zrywa jej. Wówczas to dopiero poznasz, że istotnie ożywia go [...] tryumfujący nad ślepą siłą rozum ludzki, dla którego te smoki są posłusznymi na każde skinienie niewolnikami”.

Ład, porządek i rozkwit

Sienkiewicza zainteresowały zwłaszcza przedzielnie i warsztaty tkackie, farbiarnia i blichownia. Ta ostatnia szczególnie zapadła w jego pamięć, gdyż przypominała olbrzymią łąkę otoczoną wysokim parkanem i pokrytą śniegiem. W istocie białą powłokę tworzyły zgromadzone tu wszelkiego rodzaju płótna poddane działaniu słońca i wody. Te żyrdowskie wytwory znajdowały swe rynki zbytu tak w kraju, jak i za granicą – w Rosji, Niemczech i Austrii, o czym z dumą informował Litwos, dodając, że w tej olbrzymiej fabryce pracuje aż trzy tysiące ludzi, a roczne dochody sięgają milionów rubli. Dzięki rozwijającemu się przemysłowi Żyrardów bogaci się i rozkwita. Rozrasta się wciąż osada fabryczna przybierająca kształt miasta-ogrodu, przybywa stale nowych sklepów i budowli użyteczności publicznej. Po fabryce oprowadzali Litwosa sami jej właściciele, którzy podobno za młodu biedni, dzięki swej obrotowości i usilnej pracy, osiągnęli życiowy sukces. „Kiedy obejmowali fabrykę, wszystko było w rozstroju i upadku; dziś ład i porządek w niej wzorowy, a rozkwit niebываły” – propaguje pozytywistyczną ideę przedsiębiorczości Sienkiewicz i stawia za wzór właścicieli Żyrardowa. „Tak jest: ład, porządek i rozkwit” – to idealny stan, do którego my, Polacy, powinniśmy usilnie dążyć, wyzbywając się właściwych naszej naturze skłonności do „utyskiwań na złe czasy”, do zwykłego „jakoś to będzie!”, do „wielkiej polityki streszczającej się w słowach »na wiosnę!«”. Tym samym nawołuje więc „do wytrwałej, upartej a organicznej pracy, do tej mrówczej pracy, która sprawia, że mrowisko, choćby dziesięć razy na dzień nogą przechodnia rozrzucone, wznosi się i staje znów całe – odbudowane!”.

Na wszelki przypadek

Sienkiewicz zauważa, że choć pozostajemy daleko w tyle za wysoko rozwiniętymi krajami Europy, to dają się już zaobserwować pewne symptomy postępu na niejednym polu. „Ożywił się nieco przemysł i handel, pojawiły się banki, spółki zarobkowe i dobroczynne stowarzyszenia; prawdy ekonomiczne zapuściły korzonki w naszą glebę, rozpoczął się ruch, ożywiła energia, życie wrzeć zaczęło. Choć to dopiero początek, niech nam wolno będzie widzieć w nim szczęśliwe wróżby” – analizuje sytuację Litwos i optymistycznie patrzy w przyszłość. Dlatego na łamach „Gazety Polskiej” propaguje rozwój rzemiosła, stawiając za wzór zakład rękodzielniczy dla kobiet, o którym głośno mówiono w całej Warszawie. W nim to można było uzyskać kwalifikacje w różnych dziedzinach, „począwszy od drukarstwa, drzeworytnictwa, buchalterii, fryzjerstwa, kroju sukien, szycia bielizny, szewstwa, wyrobu kwiatów – a skończywszy na zegarmistrzostwie, litografii, fotografii i polerowaniu metali”. Sienkiewicz z entuzjazmem odniósł się do idei propagowania wśród młodzieży wykształcenia zawodowego, do czego zachęcali nawet artyści. W „Kłosach” odnalazł nasz felietonista rysunek Andriollego podpisany: „Na wszelki przypadek”. Widzimy na nim warsztat stolarski, przy którym gimnazjalista pod okiem majstra hebluje kawałek drewna. Okazuje się, że to kilkunastoletni panicz, którego z zadowoleniem obserwuje siwołłosy ojciec, pewny, że w ten sposób „daje mu broń w ręce »na wszelki przypadek«”. Morał więc z tego taki, że nawet jeśli w przyszłości panicz nie będzie musiał „heblem zarabiać”, to będzie umiał uszanować pracę innych, będzie się na niej znał, pozostanie w dobrej kondycji fizycznej, a „umysł jego i charakter spotęgnieją”. Sienkiewicz twierdzi, że rysunek Andriollego zawiera myśl prawdziwie obywatelską, bowiem uświadamia ojcom rodzin, że obok wiedzy książkowej, należy uczyć dzieci rzemiosła, bo one „dają chleb pewniejszy niż każdy niemal inny zawód”.

Jak u Kochanowskiego

Chociaż Sienkiewicz propaguje rozwój przemysłu i rzemiosła, to najsilniejszym filarem gospodarki jest dla niego rolnictwo: „Dla nas wieś więcej znaczy niż miasto. Choćbyśmy nie wiem jak daleko posunęli się na drodze przemysłowej, zawsze głównym warsztatem będzie rola”. Jego zdaniem prasa zbyt mało uwagi poświęca życiu wsi, zajmując się bardziej miastami, zamiast pobudzać ruch umysłowy wśród rolników, zapoznawać ich ze stanem kultury agrarnej za granicą czy też zająć się kwestią pośrednictwa w handlu

produktami rolnymi. Sam zachęca do podejmowania inicjatyw gospodarczych, opowiadając się za urzeczywistnieniem powszechnie wówczas dyskutowanego projektu założenia fabryki nawozów sztucznych. Popiera rozwój ogrodnictwa i pszczelarstwa, przyjmując za dobrą monetę powstawanie pism specjalistycznych oraz zakładanie stowarzyszeń wiejskich. Pisząc o ruchu pszczelarzy, z satysfakcją stwierdza, że „powiększa się coraz bardziej; są już projekta miodowych stowarzyszeń, którym życzymy, ażeby dłużej niż przez miodowe tylko miesiące utrzymywały się w zgodzie i pracy”. Cieszy się na myśl, że w Warszawie wkrótce ukaże się pismo periodyczne „Ogrodnik i Pszczelarz”, które z pewnością ożywi tę jedną z najstarszych gałęzi naszej gospodarki. Przypomina czasy, gdy w Polsce stare miody ceniono na równi z węgrzynem, gdy „szumiały całe lasy lipowe, roznosząc latem dziwnie cudną woń po okolicy. Wówczas to w pogodne dni brzmiał taki las ogromną, z tysiąca tonów złożoną, muzyką pszczolną [...]”. Kochanowski sam mówi, jako w znojne godziny popołudniowe lubił położyć się pod cieniem lipy i słuchać kapeli pszczół nad głową, które, »radośnie brzęcząc«, [...] przypominały mu obowiązki i sprawy ludzkiego żywota”. Pisarz ma nadzieję, że ten piękny swojski przemysł gospodarczy, pozostający tak długo w zaniedbaniu, rozkwitnie na nowo i stanie się jak niegdyś słynną krainą miodową.

Ochronić narodowy skarbiec

Chociaż Sienkiewicz w swoich felietonach występował jako orędownik postępu, to jednak nie zaważał się przed zamanifestowaniem swego przywiązania do tradycji szlacheckiej. Dwór ziemiański traktował jako odwieczną ostoję polskości, jako swoiste muzeum pamiątek, w którym odżywał duch dawnej Rzeczypospolitej z jej rycerską i ziemiańską tradycją. Dla niego dwór to „nie tylko mury i dach, nie tylko stajnie i spiżarnie, ale nadto obrazy, biblioteka, archiwum [...], wszystko zbierane przez wieki i z historią kraju związane”. Dlatego też do głębi wstrząsnęła nim wiadomość, że pałac w Wiśniowcu ma być zamieniony na fabrykę. Nie obrażał sobie, że to właśnie gniazdo starożytnego polskiego rodu Wiśniowieckich mogłoby zostać kiedykolwiek sprofanowane. Dwór krył przecież dorobek wieków – galerię obrazów z portretami królów, Dymitra Samozwańca, Maryny Mniszchówny, ogromną bibliotekę z cennym księgozbiorem i rzadkimi rękopisami, kolekcję popiersi historycznych znakomitości. W swoim felietonie apelował więc Sienkiewicz, by ocalić ten swego rodzaju narodowy skarbiec przed zniszczeniem. Tradycyjne rycerskie kulturywane w rodzie Sienkiewicza nie pozwalały pisarzowi zaakceptować tego typu działań, które godziły w trwałe wartości starszszlacheckiego świata. Badacz literatury Alina Nofer-Ladyka podkreśla, że Sienkiewicz „traktował szlachtę z racji jej historycznych zasług jako »jądro społeczeństwa« i nie przymykając oku na jej współczesne przywary, nie popierał antyszlacheckiej akcji pozytywistów, zwracającej się z całym impetem przeciwko obyczajom, moralności i przywilejom społecznym »pierwszych w narodzie«”. Akcja ta mogła podważyć, jego zdaniem, podstawę bytu narodowego, zniszczyć rezerwat polskości, który przetrwał wszystkie burze dziejowe.

Sienkiewicz jest świadomy, że czasy się zmieniają, że postęp jest koniecznością historyczną. Sam jako felietonista propaguje nowe drogi rozwoju ojczyzny wiodące ku realizacji pozytywistycznych ideałów. Równocześnie nie zrywa jednak z tradycją swych szlacheckich przodków. Szuka w niej tego, co dla młodego pokolenia najwartościowsze. Myśli o przyszłości, ale i stoi na straży przeszłości. Zawsze natomiast ma na względzie dobro swojego narodu. Pragnie służyć mu z całych sił, próbując pogodzić pozytywistyczny program pracy organicznej z poglądami odchodzącego w przeszłość pokolenia Polaków tak boleśnie doświadczonych przez historię. Pragnie, aby wstępujący na arenę dziejową „młodzi” nie zatracili swojej tożsamości, by pęd ku nowoczesności nie doprowadził ich do zerwania fundamentalnych więzi z duchowym życiem narodu i jego przeszłością.